

MATEUSZ FILIPOWSKI OCD
MARCIN JAKIMOWICZ

Modlitwa zmęczonych Kościołem

O BUNCIE, GNIEWIE I ZAUFANIU

WSTĘP
abp Adrian Galbas

ILUSTRACJE
Laura Makabresku

© Wydawnictwo WAM, 2026

Opieka redakcyjna: Joanna Pakuza

Redakcja: Elżbieta Wiater

Korekta: Marta Koziak-Podczerwińska

Projekt okładki: Adam Gutkowski

Ilustracje wewnątrz książki: Kamila Kansy (Laura Makabresku)

Zdjęcie na skrzydle: z archiwum prywatnego autorów

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-5107-2

Cytaty z Pisma Świętego według Biblii Tysiąclecia, wyd. V,
Pallottinum, Poznań 2014

NIHIL OBSTAT

Przełożony Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego,
ks. Jarosław Paszyński SJ, prowincjał, Kraków, dn. 29 czerwca 2026 r.,
l.dz. 25/2026

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: ALKOR • Warszawa

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book 70 g vol. 2.o
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Spis treści

Wstęp 5

1 • Bunt Jonasza...
i nasze bunty 9

2 • Burza na jeziorze,
czyli ewolucja zaufania 49

3 • Widzieć przyjaciela
także... w sobie 87

4 • Płacz, udręka, wycie i łzy 141

5 • Modlitewne targowisko 175

6 • Wolność – słowo klucz 251

7 • Empatyczni 263

8 • Nic prostszego 293

Wstęp

Gdybym miał jednym słowem scharakteryzować ojca Mateusza Filipowskiego OCD i pana Marcina Jakimowicza, użyłbym określenia: „uczciwy”. Znam ich obu – pierwszego trochę bardziej, drugiego nieco mniej – i to mogę o nich powiedzieć na pewno: są uczciwi! To uczciwi ludzie i uczciwi chrześcijanie. Ucieszyłem się więc bardzo z ich wspólnej – spisanej dla nas – rozmowy. Od razu byłem przekonany, że jej lektura nie będzie czasem zmarnowanym. Nie zawiodłem się! Przede wszystkim jest to rozmowa o chrześcijaństwie – najdosłowniej rozumianym, czyli o obecności Chrystusa pośród nas: tu – na tej ziemi, i teraz – w tym czasie; o tym, jak być chrześcijaninem w Polsce i w świecie pierwszej ćwiartki XXI wieku. Co nam w tym pomaga, a co przeszkadza?

Szczególnie dotyczą mnie fragmenty o trudnościach w wierze, które są jej oczywistą częścią. Rozmówcy są tu bardzo pokorni, delikatni, nienachalni i niebanalni zarazem. Zwłaszcza gdy czytałem rozdział o Jonaszu, przypomniały mi się cudowne zdania z encykliki *Lumen fidei* papieża Franciszka:

Światło wiary nie powoduje, że zapominamy o cierpieniach świata (...). Wiara nie jest światłem rozpraszającym wszystkie nasze ciemności, ale lampą, która w nocy prowadzi nasze kroki, a to wystarcza, by iść. Cierpiącemu człowiekowi Bóg nie daje wyjaśniającej wszystko argumentacji, ale swoją odpowiedź ofiaruje w formie obecności,

która towarzyszy historii dobra, łączącej się z każdą historią cierpienia, by rozjaśnić ją promień światła. W Chrystusie Bóg zechciał podzielić z nami tę drogę i ofiarować nam swoje spojrzenie, byśmy zobaczyli na niej światło. Chrystus jest Tym, który zniósł ból, i dlatego „nam w wierze przewodzi i ją wydoskonała” (Hbr 12,2) (nr 57).

Taką wiarę obaj mają i taką wiarą się z nami dzielą. Wiarą, która nieodłącznie związana jest z Tajemnicą – i to Tajemnicą przez wielkie „T”. Nie z rebusem, nie łamigłówką czy zagadką, które w końcu, prędzej czy później, da się rozwiązać, ale właśnie z Tajemnicą, do której wciąż się zbliżamy, pewni jednak, że po tej stronie wieczności nigdy jej w pełni nie poznamy. Przeciwnieństwem takiej wiary jest niewiara, a jej zaciekle wrogiem – religijny fundamentalizm.

Jest to rozmowa o wierze w Kościół, którym obaj Rozmówcy bywają nieraz zmęczeni, a nawet wyczerpani. I pytania pana Marcina, i odpowiedzi ojca Mateusza dotyczące Kościoła nad Wisłą AD 2026 są czasem dość gorzkie, może nawet i smutne, a jednak niepozbawione nadziei. Jest to przecież wciąż „ich” Kościół, który kochają i który – czego są pewni – daje im życiową orientację, duchowe pożywienie i bezpieczne schronienie jednocześnie...

Piękne są wątki dotyczące zwykłości życia w Kościele i zwykłości życia w ogóle; te o małych gestach, o wartości odpoczynku i o budowaniu wspólnoty za pomocą jedzenia, o potrzebie akceptacji, o spotkaniu i rozmowie. Pełno jest tu dobrze dobranych cytatów z mistrzów chrześcijańskiej duchowości i nie tylko, co niejednego Czytelnika skłoni pewnie do sięgnięcia po te dzieła.

W końcu – książka, którą trzymacie Państwo w dłoniach, jest nie tylko do przeczytania, ale, może nawet bardziej, do przeżycia. Może ona być swego rodzaju rekolekcyjnym podręcznikiem, w czym pomagają konkretne pytania do refleksji, medytacji i odpowiadzi. Trudno więc będzie komuś ją pożyczyć.

Wśród wielu pięknych wierszy Emily Dickinson jest również pewien o nadziei, którą Autorka przyrównuje do ptaka. Wiersz brzmi tak:

Nadzieja – pierzaste stworzenie // Mości się w duszy na grzędzie //
Śpiewa piosenkę bez słów // I zawsze śpiewać będzie (...) // Słysza-
łam go w mroźnej krainie // Na morzu obcym i głuchym // Lecz
nigdy – w największej potrzebie – // Nie prosił – mnie – o okruchy.

Przypomniał mi się ten wiersz podczas lektury *Modlitwy zmęczonych Kościołem*. W duszach obu naszych Rozmówców umościł się ten ptak na dobre – obaj są nadziejopełni i nadziejo dawni zarazem, i tym się z nami dzielą. Dziękuję im za to, a Państwu życzę głębokiego, osobistego spotkania z tymi treściami. Oby zaowocowało w nas ono wzrostem nadziei, pomimo rozmaitych życiowych zmęczeń.

+ Adrian J. Galbas SAC

Warszawa, 11 lipca 2026 roku,
w święto św. Benedykta, patrona Europy



1

Bunt Jonasza... i nasze bunty





Karmelitom też zdarza się wykrzyczeć w Niebo słowa, po których, spłoszeni, zatykają dłonią usta?

Czy wszystkim karmelitom? Nie wiem. Wiem, że mnie – karmelicie – wielokrotnie zdarzały się modlitwy, gdy krzychałem wniebogłosy. Ostatnio nawet znalazłem karteczkę z modlitwą, którą napisałem w trudnym dla mnie momencie. Przez bardzo długi czas powtarzałem jak mantrę słowa: „Odpowiedz miłością, bo mnie, kurwa, stracisz... Odpowiedz!”. Chociaż nie zawsze tak było...

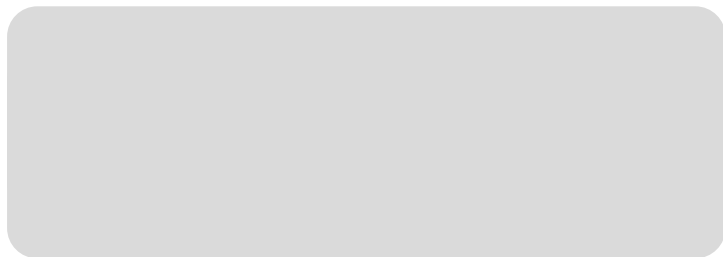
Nie uczono nas tego na religii...

Nie uczono. Wpajano nam raczej zachowanie nieskazitelnego pierwszokomunijnego garniturku lub sukienki. Zostaliśmy w nie wciśnięci i przykazano nam wtedy: „Tak masz się zachowywać przed Panem Bogiem!”. Sporo czasu potrzebowałem, aby odblokować całe moje odczuwanie, afektywność, i w końcu dojść do etapu, kiedy wiem, że emocje, stany psychiczne nie są moralnie ani dobre, ani złe. Są one zawsze czułą informacją, która domaga się zauważenia, otulenia, przyjęcia, wejścia z nią w konkretny dialog – bo te doświadczenia coś nam komunikują.

A potem potrzebowałem czasu, by zobaczyć, że skoro we mnie to wszystko jest, to ma prawo również być przed Panem Bogiem. Mogę wyjść z tego kubraczka, który i tak był już za ciasny.

Ćwiczenie

Z jak głębokiej czeluści własnej egzystencji wołałem / wołałam do Pana?



Często traktujemy Boga jak dziecko specjalnej troski. Gdy gadyśmy sobie tutaj w kontekście książki, rozmawiamy po ludzku, a mówiąc do Niego, stosujemy jakiś metajęzyk...

Całe moje doświadczenie głoszenia przez ostatnich dziesięć lat rekolekcji wprowadzających w metodę modlitwy kontemplatywnej można podsumować jednym stwierdzeniem: Bóg stał się człowiekiem, wszedł w ludzką egzystencję – a my co robimy? Najpierw sadzamy Go na katapulcie i wywalamy w kosmos, a potem konstruujemy skomplikowane mechanizmy, które pozwalają nam... dosięgnąć Go i spotkać się z Nim. To absurdalne, bo On po to właśnie stał się człowiekiem, by być blisko nas. Nasz Bóg jest Emmanuelem, to znaczy Bogiem z nami, a nie przeciwko nam. To ktoś dramatycznie bliski. W modlitwie chodzi właśnie o tę bliskość. Jeden z moich ulubionych autorów – o. Hieronim, trapista z Sept-Fons – w książce *Możliwości i melodie* pisał: „Jeśli kochamy i chcemy być kochani, trzeba przede wszystkim spędzać czas w bliskości z przyjacielem, w zasięgu jego wzroku i głosu. Twarzą w twarz albo ramię w ramię, ale zawsze blisko. (...) Miłość

i przyjaźń opierają się na tym samym podstawowym wymogu – wzajemnej obecności”.

Dla mnie życiowym odkryciem jest to, że Chrystus w tym, co do nas mówi, nieustannie zaprasza do miłości wzajemnej. To znaczy, że moja miłość względem Niego jest Mu potrzebna. Jasne, jest taki koncept w teologii, że On mojej miłości do niczego nie potrzebuje, bo wystarcza sam sobie. Chyba nie po drodze mi z takim podejściem. Wewnętrznie czuję w nim jakieś fałszywe nuty, bo skoro Bóg nas stworzył, potem stał się dzieckiem, wszedł w naszą kruchą egzystencję i sam mówił o miłości wzajemnej, to znaczy, że również jej pragnie i jest od niej w jakiś sposób zależny – że jej potrzebuje. A co za tym idzie, w całym Jego działaniu w świecie dostrzegam szukanie tej miłości, wzajemności i bliskości z człowiekiem. Powiedziałbym może nawet o jakimś zebraniu o naszą miłość. On kocha i pragnie być pokochanym.

Jest poruszony, gdy chcemy obsypać Go „pocałunkami naszych ust” (por. Pnp 1,2)? Gdy mówimy szczerze, kim dla nas jest?

Myszę, że jak najbardziej. Jeżeli przyjął nasze człowieczeństwo ze wszystkimi jego konsekwencjami, od a do zet, to jak miałyby Go takie słowa nie poruszać? Jak mogłyby nie dotykać Go słowa wydobywane z trzewi, z głębi, skoro podzielił się z nami swoją relacyjnością, która stanowi o wewnętrznej dynamice Trójcy Świętej? Stając się człowiekiem, nie przestał być Osobą, a więc relacją.

Tylko że o tym świetnie czyta się w Biblii. Marta, a za nią Maria mówi: „Gdybyś tu był, mój brat by nie umarł” i nie ma to

charakteru Credo, tylko bezradnego krzyku: „Czuję się oszukana. Przecież ta choroba nie miała zmierzać ku śmierci. Po co teraz przychodzisz? Jest już za późno!” (por. J 11,17–37); Bartymeusz drze się wniebogłosy, Syrofenicjanka mówi: „Nie wyjdę z tego pokoju, dopóki moja córeczka nie zostanie uwolniona” (por. Mt 15,21–28), a potem Jan Kowalski zdobywa się na taki okrzyk i... dręczą go wyrzuty sumienia. Czy nie przesadził? Nie przeholował? A nuż Pan Bóg się obrazi?

Nie obrazi się. Pierwszą rzeczą, którą trzeba byłoby zrobić, to rozbroić całą katechezę, którą wpajano takiemu człowiekowi od najwcześniejszych lat – zaczynając od tego, co do głowy wbijało mu środowisko, w którym wzrastał. Trzeba się również przyjrzeć temu, w jakim domu się wychowywał i jak wyglądała jego relacja z rodzicami. To oni są przecież pierwszym obrazem Pana Boga, który otrzymujemy. Dziś wiemy, że nasze relacje z nimi, a szczególnie z własnym ojcem, projektujemy na tę z Bogiem...

Ćwiczenie

Jaki obraz Pana Boga przekazali mi moi rodzice, bliscy, katecheci, środowisko, w którym wzrastałem / wzrastałam?

Zwiewałeś od tej prawdy?

Myszę, że jak większość z nas zmagalem się, walczyłem z obrazem Boga, który wyniosłem z domu. Ale miałem również szczęście, bo po drodze spotykałem nauczycieli, którzy, z jednej strony, zachowywali we mnie wszystko, co było dobre, a z drugiej – pokazywali mi inną wizję Boga. Siłą rzeczy musiałem oczyścić pierwotny obraz z projekcji wynikających z sytuacji rodzinnej, które każdy z nas mniej lub bardziej świadomie nosi. Jasne – to nigdy nie będzie przeniesienie jeden do jednego, bo każda historia jest inna. Każdy miał inną relację z rodzicami i, co ważne, spotkał innych nauczycieli. Być może rodzice *de facto* nie powiedzieli mu niczego o Panu Bogu, a największy wpływ na relację z Nim miały osoby, które jako pierwsze przekazały mu treść Ewangelii? Papież Franciszek mówił: „Dopiero poznanie czułości Boga, osobiste jej doświadczenie, sprawi, że zostaniemy uwolnieni od fałszywych obrazów, jakie w sobie nosimy, i zapagniemy wejść z Nim w głębszą relację. Jezus zaprasza nas, byśmy poznali rewolucyjną moc czułości Boga”. Patrząc na historię mojego chrześcijańskiego życia, widzę, że tę czułość Boga spotykałem. Dzięki niej zapagniłem wejść z Nim w głębszą relację. Chociaż w pewnym stopniu tajemnicą jest dla mnie to, że od samego początku w relacji z Bogiem pozwalałem sobie na bunt. Jakbym przeczuwał, że mogę, że mam do tego prawo. Jest taka tradycja żydowska, która mówi, że w Biblii każdy znajduje przynajmniej jedną postać, która o nim opowiada. Moją postacią jest...

Niech zgadnę: Jonasz?

Jonasz! (*śmiech*). Prorok, który od razu przyjmuje postawę buntownika i zwiewa na statek. Pamiętam, jak moi przyjaciele powiedzieli kiedyś: „Wiesz, Mateusz, ty jesteś takim człowiekiem, który z zasady musi powiedzieć na początku: «nie», by potem móc z wolnością powiedzieć: «tak»” (*śmiech*).

By nawrócić Niniwę, Jonasz musiał zostać zwymiotowany przez rybę.

To niezbyt przyjemny element tej układanki. Ale patrząc na życie, trzeba powiedzieć, że niezbędnym – muszę być spacyfikowany przez Pana Boga, na najróżniejsze sposoby. Oczywiście, On to robi niesamowicie delikatnie, ale robi! Cała moja historia jest wiecznym uciekaniem przed Panem Bogiem, ciągłym buntem, wkurzaniem się na Niego, obrażaniem się, by po czasie stwierdzić: „ok, miałeś rację”. To nieustanna walka w różnych konstelacjach: nie tylko najbardziej dramatycznych, ale i codziennych, gdy zwiewam, a On mnie łapie. Wieloryb, mój osobisty humbak, musi mnie przemilić, przetrawić i, delikatnie mówiąc, wypłuć.

Ale jaki jest tego owoc? Nawraca się miasto; wszyscy „od najmniejszego do największego” (Jon 3,5). Czytamy, że Niniwa była miastem na trzy dni drogi, a Jonasz szedł przez jeden dzień i wołał (por. Jon 3,3–4). Albo mu nie zależało, albo biegął jak Usain Bolt...

To, dlaczego ludzie się nawracają, zawsze pozostanie dla nas tajemnicą, przestrzenią zakrytą. I dobrze! Prorok w Biblii to nie

jest ktoś, kto przepowiada przyszłość, ale ten, który mówi rzeczy oczywiste, wraca do fundamentów, do pierwotnej miłości. Albo za słowem prorockim stoi Bóg, Jego łaska, albo nie stoi nikt i wówczas taka osoba jest fałszywym prorokiem przemawiającym jedynie we własnym imieniu. Jeżeli Niniwa się nawraca, to tylko dlatego, że za słowem Jonasza stoi Pan Bóg, a miasto porusza do żywego Jego łaska. Thomas Merton w drugiej części swojego dziennika pt. *Znak Jonasza* pisze, kim jest prorok-mnich: „Każdy mnich może ważnie i pełnoprawnie porównywać się do proroka, bo mnisi są spadkobiercami proroków. Prorok jest to człowiek, którego całe życie jest żywym świadectwem działania opatrności Bożej w świecie. Każdy prorok jest znakiem i świadkiem Chrystusa. Każdy mnich, w którym żyje Chrystus i w którym przez to wypełniają się wszystkie proroctwa, jest świadkiem i znakiem Królestwa Bożego. Nawet nasze pomyłki mają swoją wymowę, większą, niż przypuszczamy. Znakiem obiecany przez Jezusa pokoleniu, które Go nie rozumiało, był «znak Jonasza proroka», to jest znak Jego zmartwychwstania. Życie każdego mnicha, każdego księdza, każdego chrześcijanina jest naznaczone znakiem Jonasza, ponieważ wszyscy żyjemy mocą Chrystusowego zmartwychwstania. Ale czuję, że moje życie szczególnie przypieczętował ten wielki znak, który poprzez chrzest, śluby zakonne i święcenia kapłańskie został wypalony aż do korzeni mojej istoty, bo tak jak Jonasz spostrzegłem, że płynę ku memu przeznaczeniu we wnętrzościach paradoksu”.

W radach dla spowiedników, dla prezbiterów, dla kaznodziejów Jan od Krzyża podpowiadał: „Możesz być najcudowniejszym

mówcą, wspaniałym oratorem, ale jeżeli twoje głoszenie i przepowiadanie nie jest poprzedzone kontemplatywnym czasem spędzonym z Panem, jeżeli pod twoimi słowami nie podpisze się sam Pan, to pozostanie to wszystko na poziomie estetycznego wrażenia: «Ależ pięknie ojciec mówił!»; «Cudowna homilia!»...

„Dziękujemy kaznodziei, że tak bardzo nas ubogacił” – recytujemy jak z nut, choć wiemy, że błogosławionymi zostają „ubodzy w duchu” (por. Mt 5,3).

Klasyczny katolicki komentarz (*śmiech*). A jednocześnie mamy w naszej historii świętych, którzy mówili słabo, nieporadnie, „z obawą i wielkim drżeniem”, jękali się, jak Mojżesz, a jednak ich słowa przemieniały słuchaczy.

Nie chcieli ich uwieść?

Nie! A to częsta homiletyczna pokusa. Ostatecznie jednak liczy się nie narzędzie i to, czy ktoś się jąka, czy nie, ale to, czy za słowem proroka stoi sam Bóg. Tylko wtedy ma ono moc przemiany rzeczywistości i ludzkiego serca.

Jeden z księży z krakowskiej kolegiaty św. Anny żartował, że dla niego cudem było, jak po kilkudziesięciu latach przyszedł facet do spowiedzi, a zapytany, co go poruszyło, odparł: „Jedno zdanie z czytanego przed chwilą listu episkopatu”. A ten był podobno nudny jak flaki z olejem...

Nie znamy dnia ani godziny (*śmiech*). Niniwa się nawraca, bo za słowem zbuntowanego Jonasza stał Pan Bóg. A dlaczego to robił?

Moim zdaniem wynikało to z autentyczności relacji, jaką miał z Nim prorok. Podkreślam: autentyczności, bo przecież widzimy, jak była ona trudna, szorstka, nieszablonowa. Jonasz nie był chłopcem, który składał ręce i na polecenie: „Idź” odpowiadał posłusznie: „Oczywiście, idę!”.

„Kto spełnia wymagania prawdy, zbliża się do światła, aby się okazało, że jego uczynki są dokonane w Bogu” (J 3,21) – mówi Jezus, a my, katolicy nad Wisłą, od razu poprawiamy: „aby się okazało, że jego dobre uczynki są dokonane w Bogu”.

Wszystko dokonuje się w Bogu. Wszystkie nasze uczynki są przeświecone przez Światło. W Nim żyjemy, poruszamy się, jesteśmy (por. Dz 17,28). Oddychamy Nim. Od lat obserwuję w naszej myśli chrześcijańskiej pewien rozbrat, który myślę, że ciągnie się za nami aż od Platona, czyli życie w pewnego rodzaju fałszywym dualizmie. Nieustanne stawianie rzeczywistości na ostrzu noża: „albo, albo”. A dodatkowo to wszystko jeszcze podlane manichejskim sosem, za pomocą którego próbuje się nam obrzydzić świat i tych wszystkich, których nazywamy: „oni”. Czyli zły świat, źli „oni”, no i my jedyni sprawiedliwi. Papież Leon XIV przeciwstawił się takiemu podejściu, mówiąc: „Odrzucmy manichejskie podziały, typowe dla narracji pełnych przemocy, które dzielą świat na dobrych i złych” (Encyklika *Magnifica humanitas*, 222).

Albo się modłę, albo się podłę.

Dobro – zło, czerń – biel, Kościół otwarty – Kościół tradycyjno-listyczny, lewica – prawica, liberałowie – konserwatyści, biskupi –

świeccy, państwo – Kościół... i możemy tak wyliczać bez końca. Pławimy się w tym dualizmie i potem przekładamy go na życie duchowe, wskutek czego rodzi się mniemanie, że istnieją jakieś święte uczynki oraz te, które należą do sfery profanum. A gdy Teresa od Jezusa mówi o całym koncepcie życia modlitwy, to chce nam podpowiedzieć, że życie jest modlitwą. Jesteśmy cali zanurzeni w Bożej rzeczywistości, a Chrystus w jakiś sposób zniósł podział na sacrum i na profanum, ukazując nam, że cały świat, całe stworzenie jest Bożym dziełem, i Stwórca pragnie przenikać absolutnie wszystkie sfery naszego życia. Porzucenie tego przekłętego dualizmu czy też dualistycznego sposobu postrzegania rzeczywistości nie jest łatwym zadaniem. Gdy jednak człowiek raz zakosztuje krainy, w której nie ma już złowrogiego „albo, albo”, lecz jest harmonijna, obejmująca wszystko i wszystkich pojednana różnorodność, zaczyna dostrzegać głębsze sensy boskiej natury rzeczy. Ojciec Richard Rohr OFM pięknie o tym pisał: „W zdrowym katolicyzmie jest miejsce na ogromną różnorodność, większą, niż mamy tego świadomość. Dotarło do nas, że świat jest ogromnie zróżnicowany. To świat różnych ludzkich charakterów, kultur, teologii i dającego siłę przetrwania pluralizmu. Wiedzieliśmy, że nie istnieje tylko jeden sposób patrzenia na Boga i służenia Mu. To, co wiemy o Bogu, jest ważne, ale co robimy z tą wiedzą, jest jeszcze ważniejsze. Zbyt często słyszy się, że wszyscy powinniśmy postrzegać Boga w ten sam sposób (co, nawiasem mówiąc, nie jest możliwe). Bardziej konieczne jest jednak, byśmy słuchali Boga i zgodnie z tym postępowali. To, że Bóg obdarzył nas tak wielką różnorodnością

twarży, temperamentów, emocji, historii, pokazuje, że szanuje On wszystkie kultury i życie każdego z nas. Bóg nie boi się tych różnic. To my się ich boimy”.

Od lat staram się w moim przepowiadaniu nie skupiać na złu, ale akcentować to, co w człowieku dobre. Chcę poszukiwać w nim dobra. Bliskie mi jest to, co pisze św. Paweł: „Niech nie wychodzi z waszych ust żadna mowa szkodliwa, lecz tylko budująca, zależnie od potrzeby, by wyświadczała dobro słuchającym” (Ef 4,29). Wielokrotnie podkreślałem, że nie da się budować autentycznego, głębokiego życia duchowego na krytyce – ponieważ gdy nie będziemy już mieli czego krytykować, to nam się wywali całe życie duchowe.

Oj, to bolesna diagnoza dla Polaków, którzy na pytanie: „Co u ciebie?” odpowiadają: „Stara bieda”, i których najpopularniejszy zwrot brzmi: „I tak źle, i tak niedobrze!”.

Taka nasza wąska narodowa specjalizacja: wieczne narzekanie, które – jak zauważa bł. Henryk Suzo – jest modlitwą demonów. Teresa od Jezusa mówiła: „Bardziej obawiam się narzekającego człowieka niż zastępu szatanów”. Tymczasem Księga Rodzaju nie zaczyna się od trzeciego rozdziału, czyli od upadku Adama i Ewy, ale od opowieści o tym, że wszystko, co Bóg stworzył, było dobre. Uważam, że odwoływanie się do ludzkich zasobów, poszukiwanie w nich dobra i wzmacnianie go jest drogą o wiele głębszą i skuteczniejszą niż nieustanne wytykanie ludziom ich błędów. Mam wrażenie, że generalnie są oni w miarę inteligentni i wiedzą, co oraz gdzie zrobili źle. A jak nie wiedzą, to

przychodzą, rozmawiają, dopytują i rozeznają. Niezwykle ważne jest to wzmacnianie wewnętrznego człowieka oraz złożonego w nim dobra.

Od lat obserwuję, że w osobach, które spotkały żywego Boga, automatycznie uruchamia się wewnętrzny kompas – podskórnie wyczuwają, co jest dobre, a co złe. Potrafią to rozeznąć, ponazywać, rozróżnić. A my przez lata robiliśmy odwrotnie: zaczynaliśmy naszą opowieść od serwowania im moralności, listy zasad do wykucia na blachę.

Wiesz, w czym tkwi geniusz św. Pawła, który odkrywam w Liście do Rzymian? Nie tylko w tym, co w nim napisał, ale i w kolejności, w jakiej to napisał. Pierwsza część to kerygmat, druga to pareneza, czyli lekcje tego, jak naśladować Chrystusa. A my to odwróciliśmy. Najpierw uczymy naśladowania i serwujemy ludziom parenezę, która ostatecznie zamienia się w zwykłe moralizatorstwo.

Wielokrotnie widziałem, że gdy człowiek doświadczy realnego, osobowego spotkania z Bogiem i gdy wejdzie w tę relację, wówczas zaczynają się z niej rodzić wszystkie inne uczynki i dokonuje się przebudzenie wewnętrznego kompasu, który nazywamy sumieniem. Nagle okazuje się, że ludzie jednak potrafią rozeznawać i podążać za tym, co dobre! Na niejednych już rekolekcjach spotkałem się z – przedziwnym dla mnie – oporem wynikającym z przekonania, że musimy być ostrożni w głoszeniu kerygmatu, tego, że jesteśmy zbawieni dzięki łasce, ponieważ dzisiaj ludzie chorują na zanik świadomości grzechu i wizja łatwego, niezasłużonego zbawienia jest niezwykle niebezpieczna. Ciekawe, że te

zarzuty wysuwają głównie ludzie znający teologię (księża, siostry zakonne, świeccy teologowie). Zawsze na to odpowiadam, że jeszcze nigdy nie spotkałem człowieka, który zacząłby grzeszyć albo żyć zgodnie z logiką „hulaj dusza, piekła nie ma” po tym, jak usłyszał opowieść o pięknie stworzenia oraz Dobrą Nowinę o zbawieniu z łaski, a „nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił” (Ef 2,9). Spotykałem jednak wielokrotnie takich ludzi, którzy straszeni piekłem lub faszerowani fałszywą wizją chrześcijańskiej doskonałości dawali sobie z wiarą w Chrystusa święty spokój i dryfowali w wybranych przez siebie kierunkach.

Ta odwrócona kolejność sprawia, że zaczynasz powtarzać refren: „Jak będę moralnym człowiekiem, to wtedy otrzymam dar łaski i zbawienia, a Pan Jezus się ze mną spotka”.

Nie prowadziłeś zapisków po roratach: „Pomogłem mamusi”, „Podlałem kwiatki”, „Posprzątałem pokój”? To zasługiwanie zostaje do końca życia. Dziwnym trafem skończyłem kierunek studiów, który kończyła również moja mama: prawo...

Tak, to zasługiwanie, nieustanne fikołki przed Panem Bogiem i udowadnianie Mu, że warto się z nami spotkać, jest w nas bardzo głęboko zakorzenione. To obecnie jedna z największych duchowych chorób. Tyle że pokazywanie Mu bilansu naszych osiągnięć jest ślepą uliczką. Bardzo lubię (i często ją przytaczam) historię o tym, jak dziennikarz zapytał Thomasa Mertona, co jest największą pokusą we współczesnym podejściu do wiary (przyznał, że oczekiwał odpowiedzi w stylu: „Ludzie się nie modlą, nie chodzą do kościoła, nie spowiadają się, grzeszą”). Trapista

odpowiedział krótko: „Efektywność”. Wieczne zabieganie o efekty jest dla mnie całkowitym przeciwieństwem chrześcijańskiej prostoty. Komplikujemy sobie życie od dzieciństwa: uczymy się dla ocen, dla promocji do następnej klasy, na studiach dla punktów ECTS, w pracy wyrabiamy normy, a potem przenosimy to na duszpasterstwo. Przyjeżdża biskup na wizytację...

...i zaczyna się malowanie trawy na zielono i udowadnianie, że jesteśmy Wincentymi Pstrowskimi duszpasterstwa, wyrabiającymi 200% normy.

Następuje wyliczanka: tyle chrztów, tyle wspólnot, tylu bierzmowanych. Nie ma już osoby – są liczby, liczby, liczby. Mentalność handlowa, bo próbuję udowodnić biskupowi, że nadaję się na proboszcza, gdyż wykazuję się osiągnięciami. Znajomy ksiądz nieustannie zastanawia się, kiedy od własnego biskupa usłyszy pytanie: „Czy kochasz swoich parafian?”, bo póki co rozmowy dotyczą jedynie spraw ekonomicznych.

Rozmawiasz z facetem ze Śląska, gdzie – jeśli przed farą nie stoi koparka – mówi się, że farorz jest do luzu.

Tak, mocno jest w nas zakorzeniony kult wykazywania efektów, które jesteśmy w stanie opisać liczbami. Kiedy poznaję nowego zakonnika, to sobie czasem myślę: „Ciekawe, w której minucie padnie sakramentalne pytanie: «A ile macie powołań?»” (*śmiech*). Tabelki, wykresy, Excel... Przypominam sobie wówczas Małego Księcia, który opuszczając planetę biznesmena zajętego liczeniem planet, był zdumiony tą cechą dorosłych. Czuł się zdegustowany

tym, że dorośli nieustannie liczą. Oczywiście przez to, co tutaj mówię, nie chcę w żaden sposób deprecjonować starań wielu osób. Mam świadomość ogromu pracy, którą wnoszą w ten świat, w Kościół, w nasze społeczeństwo. Myślę jedynie o pewnym typie mentalności i zafiksowania na efektach, które często pozbawiają nas dostępu do tego, co źródłowe, co najważniejsze. A chodzi tutaj przecież o miłość i bliskość z samym Bogiem.

Tę efektywność bardzo często przenosimy później na naszą relację z Nim i zamiast podejść do Niego „po prostu”, chcemy się wykazywać statystykami albo robimy duchowe pajacyki, które ostatecznie zabijają spotkanie. Myślenie o prostocie zaczynam od pytania: „Mateusz, masz na sobie maskę efektywności, czy już ją zdjąłeś?”. Jest On, jestem ja i to wystarczy. Naprawdę nie muszę Mu nic udowadniać.

Ćwiczenie

*W jaki sposób zakładam w swoim życiu maskę efektywności,
chcąc pokazać przed Bogiem, drugim człowiekiem lub samym / samą
sobą, że zasługuję na miłość?*

Nawet Mesjasz miał słabiutkie statystyki. Na dziesięciu uzdrowionych wrócił jeden, a 90% odpadło (zob. Łk 17,11–19). Jeden z dziesięciu, jak w teleturnieju. Nie mówiąc już o apostołach w kulminacyjnym momencie dramatu. Gdyby pod krzyżem została choć połowa wspólnoty... ale jeden uczeń?

Kiedy podchodzisz do życia duchowego z pragnieniem efektywności, prędzej czy później musisz doświadczyć tego, że jesteś pułsty. I wtedy następuje dramat: Pan Bóg mnie nie kocha? Odrzucił mnie? Gdzie tu mowa o darmości Dobrej Nowiny? Kiedyś zastanawiałem się, z czego się wziął ten fenomen, że chrześcijaństwo „zakwasiło” cały basen Morza Śródziemnego – że jakaś religia z zapyziałej Judei rozlała się na cały ówczesny świat, na wielką cywilizację rzymską i grecką. Grecy przecież mieli najwyższych lotów filozofię (do dzisiaj uznajemy ją za kanon), Rzymianie zaś posiadali solidne prawo, a tu nagle wkracza Paweł głoszący naukę z kłopotliwej, odległej prowincji. Co porwało tych ludzi? Filozofowie w pierwszym odruchu – jak czytamy na kartach Dziejów Apostolskich – odrzucili apostoła, mówiąc: „Posłuchamy cię innym razem” (por. Dz 17,32), ale potem zaczęli wsłuchiwać się, chłonać, przyjmować. Co zafascynowało ten świat?

Gdy zadałem to pytanie ks. Przemysławowi Markowi Szewczykowi, odpowiedział: „Chrześcijaństwo wniosło coś, co w świecie starożytnym było traktowane jako maksymalna cnota, największa zdobycz: brak lęku przed śmiercią. To był ideał. A Rzymianie widzieli tę cnotę u chrześcijan – nie u jakichś wyjątkowych wojowników, filozofów, ale u kobiet, dzieci...

A zatem decydowała nie wsiąkająca w piasek krew, ale wolność, z jaką chrześcijanie podchodzili do śmierci. To było zakorzenione w świadectwie Ewangelii, bo przecież stojący pod krzyżem setnik widział mnóstwo egzekucji. Widział, jak przerażeni ludzie skomlą o litość, przeklinają wrogów, szamoczą się. Dlaczego właśnie wtedy wyznał: «To jest Syn Boży»? W Ewangelii jest sformułowanie, że widział, jak umierał Jezus. Zobaczył kogoś, kto oddaje życie bez lęku. To go przekonało. I to przekonało starożytny Rzym”.

Tak, to jest ważny powód. Niemniej myślę, że chodziło również o to, że Syn Boży jest kimś z krwi i kości, to znaczy: stał się kimś bliskim, na wyciągnięcie ręki! Niedostępni greccy bogowie żyli daleko, na Olimpie, i raczej nie interesowało ich życie ludzi, a tu nagle Bóg staje się Emmanuelem, kimś dramatycznie bliskim...

Żarłokiem i pijakiem...

...przyjacielem celników i grzeszników (por. Łk 7,34). Dodatkowo po spotkaniu z Dobrą Nowiną cały śródziemnomorski świat zrzucił w końcu ze swoich ramion to wieczne, chorobliwe zasługiwanie przed bóstwem. W końcu mógł rozwalić ołtarze całopaleń. Ówczesny człowiek już nie musiał przebłagać lub przepłacić bóstwa. Dlaczego? Bo usłyszał: „Łaską jesteście zbawieni” (por. Ef 2,8). Bóg jest kimś absolutnie bliskim, kto pragnie darmo obdarować człowieka swoją miłością. Ostatecznie wszyscy jesteśmy tacy sami, niezależnie od szerokości geograficznej czy wieku, w którym żyjemy: każdy z nas czegoś się lęka i każdy z nas

pragnie kochać oraz być kochanym. Jezus z Nazaretu zdjął z nas wszelkie lęki i pokochał. Powtarza: „Nie bójcie się – to Ja jestem. Jak Ojciec Mnie umiłował, tak samo Ja was pokochałem”.

Profesor Anna Świderkówna zastanawiała się kiedyś w rozmowie ze mną, ile milionów baranków musiano zabić w jerozolimskiej świątyni do momentu jej zburzenia. Gdy Jan Chrzciciel zawołał: „To jest Baranek Boży” (zob. J 1,29), nikt nie pytał o kontekst. A teraz wyobraź sobie, co się dzieje w tamtym momencie w świątyni: tysiące zabijanych baranków, leje się krew, która ma specyficzny zapach, kamienie rozgrzane czterdziestostopniowym upałem...

Józef Flawiusz zanotował, że pewnego roku podczas Paschy zabito 255 660 baranków, a na obchodach obecnych było ponad dwa miliony ludzi. Nawet jeśli grubo przesadził, wciąż mówimy o gigantycznym tłumie. W świąteczne dni Jeruszałaim stawało się jednym z najludniejszych miast świata.

Tłumy, przepychanki, dym kadzideł – można powiedzieć, że kult poniekąd barbarzyński. I nagle przychodzi Jezus i mówi: „Nie szukam wyznawców i ofiarników, ale przyjaciół oraz czcicieli w Duchu i prawdzie”.

To dlatego eksplodował gniewem w świątyni? Chciał rozbroić naszą dewizę: „Bóg, handel, ojczyzna”? Jedynym przedmiotem, którego własnoręczne wykonanie przez Jezusa opisują ewangelści, był bicz ze sznurków...

Może chciał wywrócić nasz mały stoliczek, by pokazać, jakie jest prawdziwe oblicze Ojca? Nie mógł wyraźniej zaznaczyć, że nie o handel tu chodzi, tylko o relację dziecięctwa. Jesteśmy dziećmi, a one nie handlują. Ojciec Łazarz, koptyjski mnich, zwykł powtarzać: „Zapomnij, że jesteś dorosły. Przed Bogiem zawsze będziesz dzieckiem”. Moimi najlepszymi formatorami były dzieci. Od wielu lat spędzam wakacje u przyjaciół, którzy mają ich szóstkę. Marcin powiedział kiedyś żartem: „Wiesz, ja to cię trochę podziwiam, bo masz tylko kilka tygodni urlopu, mógłbyś sobie pojechać gdzieś realnie wypocząć, a przyjeżdżasz do nas, w cały ten rodzinny rozgardiasz”. Tymczasem myślę sobie, że bez przyjaźni to bym usechł, a poza tym takie jest właśnie ich życie. Jak można przyjaźnić się w sterylnych warunkach? Życie, a zatem i przyjaźń, wydarzają się w określonej rzeczywistości. Nie „odpływam” od życia chyba właśnie dzięki temu, że nieustannie jestem zanurzony w życiu konkretnej rodziny. Poza tym uważam, że przestrzeń rodzinna – to, co się wydarza między rodzicami a dziećmi – jest jedną z najlepszych szkół duchowości. Lubię tych i innych moich przyjaciół podglądać w rodzinnym życiu. Nasiąkam ich codziennością, która mnie kształtuje i ubogaca. Bardzo lubię ten moment, kiedy wtapiam się w krajobraz rodzinny i staję się częścią tkanki tej wspólnoty. Dobrze czasem usłyszeć od dzieci: „Mati, ogarnij się”.

Kiedyś zobaczyłem scenę: małe dziecko – czteroletni szkrab – nagle wpadło w taką dziecięcą złość, frustrację. Tu kopnęło tatę, tam coś głupiego do niego wykrzyczało. Mój przyjaciel wiedział, że to jest dziecko, że w tamtym momencie kompletnie nie radzi sobie

z emocjami, więc... trzeba je przytulić. Wiedział, że ten krzyk, ten gejzer emocji nie jest o nim, nie jest na serio, i że istnieje radykalna różnica między umysłem dorosłego a malutkim umysłem dziecka. Przytulił synka i zaczął z nim rozmawiać. Widząc to, pomyślałem: „O ileż bardziej radykalna jest różnica między naszym dorosłym umysłem a umysłem Boga!”. Różne rzeczy robimy w tym świecie: obrażamy się, tupiemy nogami, histeryzujemy, grzeszymy w najbardziej podły sposób, a Pan Bóg na nas patrzy i mówi: „Dziecko moje, widzę, że sobie nie radzisz. Masz malutki rozumek, jak Ku-buś Puchatek”, bierze nas i kolejny raz przytula. Z tym wszystkim, z czym sobie nie radzimy. On przecież cały czas jest Ojcem!

A my chcemy mu pomagać w zbawianiu świata... W znakomity sposób opisał ten mechanizm franciszkanin o. prof. Stanisław Celestyn Napiórkowski: „Na własny użytek przywołuję najpiękniejszą wioskę świata, czyli Małe Mrocзки nad Gawroncem, gdzie się urodziłem. W podwórku była studnia z żurawiem. Mama ciągnęła wodę i dźwigała wiadra. «Pomogę ci!» – wołałem i chwyciłem wiadro z boku. Szliśmy tak razem, mocując się. Mama z wiadrem i z moją osobą, która zwiększała jego ciężar. Więcej tej wody wychłapałem, niż doniosłem. W końcu mama stawiała wiadro, brała mnie na ręce i całując, wołała: «Ach, ty mój mały pomocniku, cóż ja bym bez ciebie zrobiła?»”.

Cudowne! Bóg chce nieść z nami to wiadro, zdając sobie sprawę z konsekwencji tego wyboru! Dlaczego? Bo, jak już wspomnieliśmy, stał się człowiekiem i wszedł w miłość wzajemną. Ważniejsza jest wzajemność relacji i bycie w niej niż to, że „nam się rozlało”.

Mocno dotyka mnie sformułowanie, które często przewija się w *Dzienniczku* s. Faustyny: „biedni grzesznicy”. Grzech to wielka ludzka bieda.

Bardzo lubię hymn brewiarzowy, w którym śpiewamy: „Pochyl się, Panie, nad ludzką niedolą, // Nad naszym grzechem i naszą słabością, // Która nie zawsze jest buntem przed Tobą, // Lecz tylko nędzą człowieczą”. Myślę, że to naprawdę skrajna sytuacja, kiedy ktoś bardzo świadomie i całkowicie dobrowolnie buntuje się, po szatańsku, przeciwko Bogu. Patrząc z mojego doświadczenia i czasu spędzonego w konfesjonale, nasze upadki to raczej jedna wielka ludzka bieda i nędza. Widziałem to, patrząc na mojego przyjaciela Marcina. Skoro on tak patrzy na swoje dzieci i jako człowiek jest zdolny do takiej miłości, to co dopiero Pan Bóg! On przychodzi do nas nieustannie z radykalną łaską, nie musimy Mu imponować ani niczego udowadniać. Myślę, że droga chrześcijanina jest ostatecznie opowieścią o zgodzie na własną bezbronność, a to stan, który wpisany jest w dzieciństwo. Pięknie o tym mówił Hans Urs von Balthasar: „Bezbronność i – patrząc z perspektywy zwykłego człowieka – słabość (a zatem także lęk) staje się najistotniejszym warunkiem chrześcijańskiej dzielności. (...) Im więcej bezbronności, tym większe otwarcie na Boga i dla Boga, i tym samym większy napływ Jego mocy, Jego większa obecność w człowieku”.

Przed laty Andrzej Sionek zadał mi pytanie: „Którego dnia Bóg stworzył człowieka?”. „Szóstego”. „A co robił siódmego?”. „Odпочął”. Podsumował to tak: „Bóg stworzył człowieka, aby mieć

z kim odpoczywać”. Masz takie doświadczenie, że Bóg stworzył Mateusza Filipowskiego, by móc z nim odpoczywać? Słowa trapisty o. Michała Zioło, że mnich jest bezużyteczny, wielu oburzyły...

Za wszelką cenę chcemy Bogu udowodnić, że jesteśmy po coś. Kiedyś pewnie bym się oburzał i wykonywał różne duchowe fikołki („Muszę być po coś i muszę coś stwarzać”; „Możesz na mnie liczyć, pójdziemy razem zbawiać świat!”), ale moje ostatnie doświadczenia: dotknięcie braku, niemożności, dojścia do ściany i odkrycie, że ja naprawdę mogę być taki, jaki jestem, i być w tym wszystkim z Bogiem, pokazują mi, że On mnie zaprasza do tego, by również razem odpoczywać. Doświadczam tego przede wszystkim na modlitwie, na której już od dłuższego czasu nic nie robię. Bo co mam robić? „Ty wszystko wiesz. Wiesz, co we mnie siedzi, znasz mnie na wylot, lepiej niż ja sam siebie. Wierzę, że naprawdę zapraszasz mnie do szabat, do odpoczynku, do tego, byśmy sobie posiedzieli. Bezproduktywnie”. Kiedy przez jakiś czas mieszkałem w naszym eremickim domu modlitwy, najbardziej lubiłem ten moment, w którym wychodziłem po pracy na łąkę. Kładłem się z kubkiem kawy na trawie i mogłem po prostu być. Bez presji, że muszę jeszcze coś zrobić, za czymś biec, wykazać się kolejnym aktem własnej kreatywności. Mogłem odpoczywać w obecności Tego, który jest! Chyba na starość, kiedy już nic nie będę musiał robić, kupię sobie klasyczną fajkę, będę ją nabijał i sobie pykał na jakiejś ławeczce, siedząc z Panem Bogiem (*śmiech*).

Jako karmelitański Gandalf Szary... Gdy Kowalski czyta, że Teresa z Lisieux spacerowała sobie po ogrodzie w intencji pewnego misjonarza, przeciera oczy ze zdumienia. To tak można? Spacerować i tracić czas?

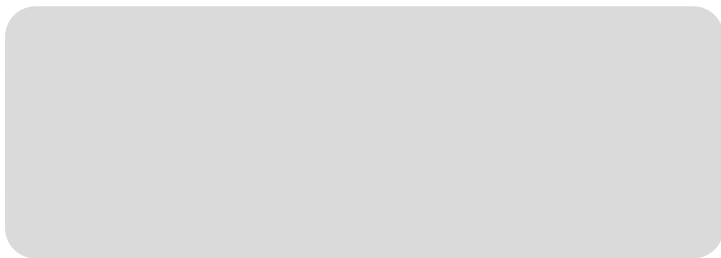
Albo jak hobbici. Oni są dla mnie swoistym literackim symbolem nadchodzącego Królestwa Bożego: „Jeśli się nie staniecie jak hobbici, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego” (*śmiech*). A jeśli chodzi o Małą Tereskę, to była niewątpliwie mało efektywna, patrząc na nasze obecne standardy. Miała jednak świadomość, że logika Boża jest zupełnie inna niż nasza. A ta świadomość wywraca do góry nogami to, co słyszeliśmy przez całe lata. Czytam Ewangelię i widzę, że Pan Jezus naprawdę rozsądza system. Każdy kolejny fragment oparty jest na zasadzie kontrastu: „Wy myślicie tak, a ja wam powiadam...”. Kiedyś nie rozumiałem tego, że w pewnym momencie człowiekowi wystarczy Ewangelia. Książki są dobre – kocham je i mam do nich słabość. Ale im starszy jestem, tym wyraźniej widzę, że sama Ewangelia wystarczy. Ciągłe wraca do mnie zachwyt nad nowością Dobrej Nowiny i nad tym, jak Pan Jezus wybija mnie z orbity ciasnego myślenia.

Ćwiczenie

Za czym gonię? Co nie pozwala mi się zatrzymać?

Kiedy ostatni raz nie robiłem / robiłam nic?

Czy potrafię odpoczywać?



Czytamy, że maszerujący po jeziorze Jezus, widząc uczniów – przerażonych, zmagających się z falami i czyniących przedśmiertny rachunek sumienia – chciał ich minąć (por. Mk 6,48). Niezła pedagogika...

Być może chciał nas minąć, aby nas sprowokować, zaprosić do tego, byśmy się w końcu realnie spotkali: z Nim, z samymi sobą. Czasem opieranie się tylko na sobie samym paradoksalnie oddziela nas od naszego wnętrza. Tracimy wówczas kontakt z samymi sobą. Widzę to tak, jakby Jezus chciał, abyśmy w końcu spojrzeli na Niego, a nie skupiali się na zewnętrznych okolicznościach, dzięki czemu jest szansa, że spotkamy też siebie samych i w końcu siebie przyjmujemy. Ojcowie Kościoła podkreślali, że nic, co nie jest przyjęte, nie może być zbawione. Jeśli więc chcemy, by coś w nas zostało zbawione, musi to być przez nas przyjęte, jakoś przetrawione i zaakceptowane. Jeśli jesteśmy poblokowani w różnych przestrzeniach, zamrożeni w naszej emocjonalności i mamy szafę, do której wrzucamy wszystko, co uznamy za „niegodne sacrum”, to takie działanie nie jest zgodne z logiką Pana Boga. On mówi: „Hej, przecież to jest część ciebie. To też chcę zbawić!”. A ponieważ pozostajemy pozamykani na cztery spusty,